

AKTORSTWO ŻRE OD ŚRODKA

JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK, AKTORKA:

Złapać bakcyla aktorstwa to jak złapać wirusa herpes
– nie jest śmiertelny, można z nim żyć,
ale w człowieku siedzi i żre od środka.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: W jakim jest Pani momencie życia?

JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK: Rozliczania się z tego, co się dokonało. I przygotowywania się na nieuniknione.

Gdy patrzy Pani wstecz, jakie dobre momenty przychodzą Pani do głowy?
Dobre było całe 60 lat.

A w tych 60 latach ważne zdarzenia?

Wybór zawodu i wejście w środowisko, bo ja wzięłam się z zupełnie innego: mama – gospodyni domowa, tata – wojskowy. Gdy miałam 21 lat, nastąpiło całkowite otwarcie. Po pierwsze ukończyłam szkołę teatralną, po drugie zagrałam w „Trzeba zabić tę miłość”, po trzecie dostałam angaż w Teatrze Dramatycznym i debiutowałam w ważnej sztuce – „Elektrze” Jeana Giraudoux, reżyserowanej przez Kazimierza Dejmka.

Jako dziewczyna miała Pani kontakt z teatrem?

Byłam zielonym ludzikiem, który chłonał wszystko, co działo się wokół. Szłam do teatru lub kina, gdy tylko stać mnie było na kupienie biletu, bo pochodziłam z dużej rodziny, w której się nie przelewało. Od czasu do czasu udawało mi się na ten cel wykrobać z kieszonkowego lub namówić mamę, by sama wykrobała ze swoich skromnych oszczędności.

Na akademiach szkolnych recytowała Pani wierszyki?

Raz jeden – patriotyczny. Nigdy mnie nikt do tego nie wybierał.

A Pani się garnęła?

Tylko dlatego, że chciałam zdobyć uznanie kolegów i koleżanek – wkupić się w ich łaski, podlizać, zaistnieć wśród współplemieńców, co mi się zresztą nie udawało. W piątej klasie przeniosłam się z Gdańska do Warszawy i miałam ogromny kompleks prowincjonalności, w którym mnie utwierdzało całe otoczenie. Trafiłam do środowiska młodych ludzi, nastawionych negatywnie wobec osób przyjezdnych. Ta sytuacja powtórzyła się w liceum: duża grupa z podstawówki przeniosła się do instytucji o innej nazwie, ale mieszczącej się w tym samym budynku. Więc ja, ta prowincjuszka, kolejne cztery lata tkwiłam w tym samym bajzlu.

I to był zasadniczy powód wkupywania się w łaski rówieśników...

Gdy wystąpiłam na tej akademii, zżerała mnie potworna trema. Wtedy sobie obiecałam: „Już więcej nie, nigdy, ratunku!”. W ogóle nie bardzo wiedziałam, jak to jest stanąć przed ludźmi, nikt mnie do tego nie przygotował. Natomiast już jako uczennica liceum trafiłam do kółka teatralnego. Prowadziła je pani Jadwiga Marso, córka przedwojennego dyrektora opery, z wy-

kształcenia aktorka grywająca między innymi w Cricot 2 u Kantora. Potem zajmowała się amatorskim ruchem wśród młodzieży w Pałacu Kultury. Koleżanka bardzo chciała dostać się do tego kółka i namawiała mnie, bym dotrzymała jej towarzystwa. I tak się stało, że to ja zostałam w kółku, a nie ona.

Wystawialiśmy tam „Po upadku” Arthura Millera; nawet grałam główną postać – Maggie. W kółku poznałam też Jurija Ledermana, on był starszy ode mnie i wcześniej dostał się do szkoły teatralnej. A gdy przyszedł Marzec '68, Jurij wyemigrował do Szwecji. I siedzi tam do dziś.

Utrzymujecie kontakt?

Spotkaliśmy się raz. Jurij został zaproszony do wyreżyserowania sztuki przez Piotra, mojego męża, gdy ten dyktował w Dramatycznym. Bo oni w szkole teatralnej byli właśnie na jednym roku. To był zjawiskowej urody mężczyzna: rudawy blondyn, piegi na pysku, chudy – gdy wiatr wiał, to nim zamiatało jak wierzba na wietrze. W sumie chciałam zdawać do szkoły, by się z nim spotkać – fascynował mnie jako dziewczynę.

Na tym kółku poznałam też Urszulę Gabryś, z którą potem byłam na jednym roku przez całe cztery lata. Była najpilniejszą i najlepszą uczennicą, szkołę ukończyła z wyróżnieniem i nagrodą od rektora. I nie uprawia zawodu. →

⇒ **Bo?**

Sądzę, że nie złapała bakcyla aktorstwa. Gdy się go już złapie, to potem nie można się od niego uwolnić. To jak złapać wirusa herpes – nie jest śmiertelny, można z nim żyć, ale w człowieku siedzi i żre od środka, czy chcesz tego, czy nie.

I Pani tego „wirusa” złapała na kótku?

Upałam się wtedy, by pokierować moim życiem w stronę tego zawodu. Mój ojciec bardzo mnie od tego odwoził. Mówił, że to zawód nieprzystoity, niewiele dający satysfakcji, nieprzynoszący profitów, w ogóle godny pogardy. Tak mnie naślawiał tatuś.

A mama?

Kibicowała, potwierdzając pozytywne strony decyzji czwórki swoich dzieci.

Miała Pani trzech braci i...

Dlatego chciałam być chłopakiem... Co taka baba wśród chłopów może robić? Być chłopem. Graliśmy z braćmi w piłkę nożną, w hokeja na trawie, w podchody, bawiliśmy się w Indian.

Przeciwna byłam temu, że jestem kobietą; kilkanaście lat się z tym borykałam. „Boże kochany, dlaczego to tak się ułożyło?” – pytałam w duchu. A potem już sobie odpuściłam. Bo będąc kobietą, można też znaleźć jaśniejsze strony.

Lalkami się Pani nie bawiła?

Lalkę bardzo chciałam mieć, ale nikogo nie było stać, by mi ją sprezentować. Szybciutko nauczyłam się, że nie wolno mieć takich marzeń.

A potem strasznie mi się to odbiło... Przedziwna sprawa: gdy w wieku 40 lat urodziłam trzecie dziecko, czyli drugiego syna, to nagle dostałam kompletnej szajby i zaczęłam mu kupować lalki. Przerażało mnie to i jednocześnie nie mogłam się powstrzymać. Inna sprawa, że to był czas, kiedy w Polsce nastąpiła wolność, pojawiły się piękne przedmioty, w tym właśnie zabawki... Zgromadziłam półkę lalek, Antek w ogóle nie był nimi zainteresowany. Któregoś razu spakowałam je wszystkie do torby i wywiozłam w prezencie dalekim krewnym. Dotarło do mnie, że to było kompulsywne naprawienie krzywd z dzieciństwa.

Co Pani jeszcze robiła w dzieciństwie?

Bardzo wcześnie z braćmi zaczęliśmy czytać książki, wszyscy siedzieliśmy dniami i nocami zatopieni w lekturze. Zaczynałam od bajek: Andersena, braci Grimm, Konopnickiej, Kownackiej. Potem miałam

**To coś nienaturalnego,
niezgodnego z biologią:
tutaj siedzę, a tam mówię
i ruszam się.**

**Moje wyobrażenie o sobie
jest kompletnie
inne niż to, co potem
oglądałam na ekranie.**

okres Winnetou, uwielbiałam „Sejdzio i jej bobry”. W wieku nastu lat połknęłam całego Żeromskiego – byłam nim zachwycona. Gorzej powiodło mi się z Sienkiewiczem, nie powiem, że bym była jego fanką. Młodość szumna, dumna i górna zeszła mi już na poważniejszej literaturze. Brałam się za filozoficzne teksty – Monteskiusza, Kierkegaarda, Kotarbińskiego, Kołakowskiego – niewiele z nich rozumiałam, ale co mogłam, to usiłowałam przeczytać. Byłam członkiem wielu bibliotek, namietnie pożyczalam książki albo wyrывalam je moim braciom z rąk; tak to się toczyło.

**Dzisiejsi młodzi nie mają pojęcia, co
to znaczy „pochłaniać książki”.**

Większość liceum spędziłam na wagarach. Moja mama kiedyś mnie nakryła w szafie. Nie chciałam iść do szkoły, wlałam do niej, zapaliłam latarkę i czytałam. Mama zapytała, dlaczego tak się dzieje, więc powiedziałam, że nie bardzo jestem zainteresowana tym, co nauczyciele proponują, że zakres materiału do przerebienia zaliczam na trzy z plusem lub trzy z minusem, mnie to wystarcza ambicjonalnie, nie chcę więcej, więc co ja będę siedziała na lekcjach, wolę być w domu i poczytać. Mama na to: „Nie chowaj się do szafy, tylko po prostu zostawaj w domu, ja będę ci wypisywała zwolnienia. Chodź na zaliczenia i na klasówki”. I tym rewelacyjnym sposobem zrobiłam cztery lata liceum.

Miała Pani mądrą mamę.

Każda sytuacja ma dobre i złe strony. W tej złą było to, że nie chodząc do szkoły, nie integrowałam się z grupą.

Teraz rozumiem, dlaczego Pani powiedziała o sobie, że przed zdaniem do szkoły teatralnej była Pani „zielonym ludzikiem”.

Na roku było nas dwadzieścia parę osób, potem, w trakcie studiów, ludzie wykru-

szali się, dyplom robiło piętnaście. Zajęcia trwały od wczesnego poranka do późna w nocy, a jeszcze w nocy zostawaliśmy, by przygotować się na następny dzień. To były jedne z najpiękniejszych lat w moim zyciorysie. Uczestniczyłam w kole naukowym – sami wystawialiśmy dziwne performance’y. Ze studentami z filmówki kręciliśmy etiudy. Biegało się na różne koncerty – życie furkotało. Poza wszystkim na pierwszym roku poznałam mojego przyszłego męża, pobraliśmy się na czwartym, więc kwitła też moja bujna uczuciowość.

A nauczyciel, który w szkole teatralnej dał Pani najwięcej?

Jerzy Jarocki. On przybył do naszej uczelni warszawskiej z Krakowa zaproszony przez Ignacego Gogolewskiego, by zrobić z nami dyplom – „Akty”. Praca z nim trwała dwa miesiące, ale ukształtowała mnie jako aktorkę. Jarocki miał ksywkę „Hitlererek” – był mężczyzną niskim, ale o ambicji, która przewyższała Himalaje. Strasznie cięty i nieustępliwy w swoich nieprawdopodobnych wymaganiach, praca z nim to była orka na ugorze: pot i łzy. Poza tym on nie tylko nas nakierowywał na działania aktorskie, ale również pobudzał intelektualnie: podsuwał lektury, wymagał orientacji w szerokim zakresie związanym ze sztuką. Jarockiemu pomagał Stanisław Radwan – precyzyjny człowiek. Kiedyśmy się załamywali, bo „Hitlererek” nas wykańczał, to Staś był w pobliżu. Ukoił dobrym słowem, przytulił, po głowie pogłaskał i jeszcze tchnął w człowieka ducha.

„Akty” złożone były z fragmentów „Wesela”, „Matki”, „Tanga” i „Ślubu”. W 1972 r. ten spektakl został zaproszony na festiwal szkół teatralnych w Kennedy Center w Waszyngtonie.

To było nieprawdopodobne wydarzenie... Z tym dyplomem zrobiliśmy turę po całym Wschodnim Wybrzeżu. Kwiecień i maj spędziliśmy w Ameryce. Znaleźliśmy się w łaźni parowej, gdzie było 30 stopni, wilgotność 99 procent, a my przyjechalismy w kurtkach, koszulach, botkach. Szok nie tylko klimatyczny. Bo z głębokiego komunizmu zostaliśmy nagle przeniesieni do głębokiego kapitalizmu...

Co się działo po powrocie do Polski?

Pojechałam do Puław, tam mój mąż współtworzył teatr eksperymentalny dla robotników przy Zakładach Azotowych. Marzyliśmy o artystycznej pracy u podstaw, ale robotnicy nie byli zainteresowani teatrem.



MATERIAŁ PRASOWY

A poza tym z Piotrem uprawialiśmy peregrynacje po teatrach i kinach. No i jeździliśmy do Wrocławia oglądać wczesnego Grotowskiego.

Zachwycił Panią Grotowski?

Doceniałam niebywały wysiłek, kreatywność i odmienną propozycję, natomiast zarówno mnie, jak i Piotra zupełnie to nie przekonywało. Ale uparcie podążaliśmy za każdą produkcją Grotowskiego. Wsiadaliśmy wieczorem w pociąg osobowy, jadący wówczas z Warszawy 11 godzin, i nad ranem docieraliśmy na miejsce. Cały dzień włóczyliśmy się po mieście, a wieczorem szliśmy na spektakl. Za każdym razem myśleliśmy, że tym razem jednak nas przekona.

Kto Was w tym czasie przekonywał?

Jerzy Grzegorzewski. Pierwsza jego rzecz, którą zobaczyłam, to była „Ameryka” w Ateneum na małej scenie. Potem Joyce’a „Ulisses” – i tu oszalałam kompletnie. To była stylistyka, wrażliwość i sposób opowiadania całkowicie różne od tego, co się działo w tzw. głównym nurcie teatru. Rozumiałam to i byłam zachwycona Grzegorzewskiego sposobem komunikowa-

W węgierskim filmie „Inne spojrzenie”, 1982 r.

nia się z widzem. „Ulisses” to jeden z nielicznych momentów w moim życiorysie, o którym mogę powiedzieć, że przyniósł *katharsis*.

A kiedy Pani patrzyła na siebie grającą Magdę w „Trzeba zabić tę miłość”, to co Pani przeżywała?

W duchu wołałam: „Ratunku!”. To jest coś nienaturalnego, niezgodnego z biologią: tutaj siedzę, a tam mówię i ruszam się. Moje wyobrażenie o sobie jest kompletnie inne niż to, co potem oglądałam na ekranie – tak jest za każdym razem.

W „Trzeba zabić tę miłość” patrzyła Pani na śliczną dziewczynę o niebieskich oczach, wydatnych ustach i z ostrym charakterkiem.

Gdy zaczęły się zdjęcia, byłam studentką trzeciego roku. Uprosiłam reżysera, byśmy się zmieścili z produkcją podczas wakacji – to były trzy miesiące, zajęcia zaczynały się w październiku. Wtedy studentom nie wolno było kręcić filmów, za to relegowano z uczelni, a mnie zależało na otrzymaniu dyplomu.

Przyznaję się, że gra w tym filmie była dla mnie szokiem. Przystąpiłam do pra-

cy z kolosalną determinacją, udając, że wszystko jest dla mnie jasne, tylko proszę mi powiedzieć odkąd dokąd – co było absolutną nieprawdą. Dobór ludzi w ekipie był fantastyczny: nie dali mi odczuć, że mają do czynienia z amatorką. Wykazali się wobec mnie serdecznością i wyrozumiałością, a ja poczułam się jak wielka, dopieszczona artystka i to spowodowało, że ruszyłam z kopyta, nie oglądając się za siebie. Rezultaty przerosły moje oczekiwania: nie spodziewałam się, że „Trzeba zabić tę miłość” zostanie przez publiczność i krytykę tak dobrze przyjęte.

Gorzej przyjęła ten film władza ludowa. Cenzor zażądał, by skrócić procesję Bożego Ciała, wyciąć kardynała Stefana Wyszyńskiego i wyrzucić scenę szkolenia partyjnego. Po tych zmianach film odblokowano. Potem Janusz Morgenstern miał go pokazać w Stanach, ale nie dostał zgody na wywóz kopii za granicę.

Gdyby ten film poszedł na festiwale, to przypuszczalnie dzisiaj zawodowo byłabym zupełnie gdzie indziej. A przez to, że na „Trzeba zabić tę miłość” nałożono szlaban, na jakiś czas została też przystopowana moja kariera. Rozwijałam się artystycznie wyłącznie na terenie naszego socjalistycznego kraju. Tak to bywa, ale nie można obrażać się na rzeczywistość.

Nie obrażała się Pani na rzeczywistość nawet wtedy, kiedy dostała Pani w 1982 r. Złotą Palmę w Cannes za rolę Ewy w węgierskim „Innym spojrzeniu”? Świat zachodni otworzył przed Panią bramy, a Pani wraca do Polski odgródzonej od niego żelazną kurtyną.

Świat powinien stanąć otworem, ale tak się składa, że niekoniecznie. Musiałam tu wrócić... Nie żałuję też dlatego, że wtedy akurat syn, który mieszka obecnie piętro wyżej, miał zaledwie dwa lata. Gdybym wpadła na pomysł, że jadę robić karierę, odcinam się od rodziny, a w świecie prowadzę rozbuchane życie, to prostu nie miałabym domu.

Kogo Pani poznała w Cannes?

Poznałam o tyle, że potknęłam się o Daniela Olbrychskiego, który wtedy był tam z taką piękną francuską aktorką. Jackowi Lemmonowi uściśnęłam dłoń, Antonioni był przewodniczącym jury i wymieniał z nim jakieś kurtuazyjne zdanie, a Geraldine Chaplin optowała za tym, bym ja dostała nagrodę. Traktowano mnie jak członkinię ekipy węgierskiej. A ponieważ →

→ wszyscy uważali, że Węgrzy władają bardzo dziwnym językiem, więc niechętnie się do nas zbliżano, nawet by wymienić uwagi na temat pogody.

Samym miejscem byłam zachwycona: po raz pierwszy znalazłam się w Cannes, w ogóle na wybrzeżu Francji. Realnie zetknęłam się ze światem dotąd dla mnie mitycznym – znałam go wyłącznie z literatury Gombrowicza i Prousta. Jednocześnie, mając za sobą komunistyczne ubóstwo, trochę z politowaniem spoglądałam na to wielkie targowisko próżności.

Naprawdę nigdy z mężem nie myśleliście, by wyjechać z Polski?

Pojawiła się taka myśl właśnie w stanie wojennym, Piotr nawet przedsięwziął kroki w tym kierunku, wymyślił Australię. Kombinował, by objąć tam stanowisko rektora uczelni artystycznej, wziął udział w konkursie rozpisany na cały świat. Ale wszystko spełzło na niczym: ktoś z tamtejszej Polonii wziął aplikację złożoną przez Piotra i wyrzucił do kosza. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero po paru latach.

Gdy dostała Pani Złotą Palmę, do Filmu Polskiego przychodziły dla Pani oferty ze świata, ale sekretarki wyrzucały je do kosza...

Nasze społeczeństwo jest zawistne niezwykle, to jedna z podstawowych jego cech. Właśnie nie zazdrość, bo ją da się przekuć w namiętność, więc coś pozytywnego, popychającego do przodu, lecz zawiść, ściągająca w dół.

Jak Pani męża, który z dnia na dzień w 2007 r., bez podania przyczyny, został zwolniony z dyrektorowania Teatrem Dramatycznym.

To było obrzydliwe. Piotr miał ogromne osiągnięcia jako dyrektor, a także był znakomity w nauczaniu aktorstwa, to była jego pasja życiowa. Wykształcił wielu fantastycznych ludzi. Potrafił z młodymi pracować: bazował przede wszystkim na tym, co wnoszą swoją postawą, doświadczeniem, urodą, wrażliwością.

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
w Radio Kraków goszczą
dziennikarze „Tygodnika”.

Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM |
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM |
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM |
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM |
Gorlice – 97,4 FM www.radiokrakow.pl

Powiedziała Pani, że 60 lat Pani życia było dobre. Sześć ostatnich gorsze – bo choroba zabierała Pani męża?

Po śmierci Piotra nagle obudziłam się, jakbym była w zupełnie innym świecie i zupełnie innym człowiekiem. Mimo że minęły już dwa lata, ciągle czuję się, jakby ktoś amputował część mnie. Muszę się nauczyć, że Piotra nie ma. Łapię się na tym, że ciągle chcę z nim iść do kina, teatru... Nie mogę z tego powodu płakać – nie jestem pierwszą ani ostatnią osobą, którą to spotkało. Tylko że dopóki to się nie wydarzy, człowiek tak łatwo o tym mówi. A potem nagle go to dotyka i nie sposób się pozbierać. Myśle, że za chwilę wróci i będzie. A nie będzie, nie będzie...

Mówiła Pani jeszcze o „gotowaniu się na nieuniknione”...

Wolałabym tego nie rozwijać. Ale ważne jest to, że jestem otoczona wspaniałymi ludźmi. Mam trójkę dzieci i trójkę wnuków. W Warszawie mieszka dwóch synów, a córka z mężem i swoją córką w Mysiadle. Moje dzieci utrzymują ze sobą kontakt, nieustannie komunikują się, spotykają, bywają razem, wyjeżdżają na wspólne wakacje. Ja z moimi braćmi nie potrafiłam czegoś takiego stworzyć. Więc jeśli jestem otoczona takimi bliskimi, to moje patrzenie w przyszłość jest naprawdę optymistyczne. ©

JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK (ur. 1951) pochodzi z Gdańska, mieszka w Warszawie. Aktorka filmowa i teatralna. Jako studentka szkoły teatralnej wystąpiła w filmie „Trzeba zabić tę miłość” (1972) w reżyserii Janusza Morgensterna według scenariusza Janusza Głowackiego (1972). Rola Magdy w kameralnym dramacie o dwojgu młodych ludziach przyniosła aktorce pierwsze ważne wyróżnienie – Nagrodę im. Zbigniewa Cybulskiego. W 1982 r. zagrała bezkompromisową dziennikarkę – Éwę Szalánczy w węgierskim filmie Károlyego Makka „Inne spojrzenie”; ta rola przyniosła jej Złotą Palmę w Cannes. Film na podstawie książki Erzsébet Galgóczi rozgrywał się w rzeczywistości Węgier tuż po rewolucji 1956 r. W tę polityczną historię wpisana została problematyka obyczajowa – lesbijska miłość łącząca Éwę z Livią. Jankowska-Cieślak wystąpiła m.in. w filmach Wajdy, Rosy, Dejczer, Pasikowskiego. W teatrze grała w sztukach reżyserowanych m.in. przez Cywińską, Jarzynę, Lupe, Warlikowskiego. Jej mężem był Piotr Cieślak (1948–2015), aktor, reżyser, wykładowca warszawskiej PWST, dyrektor Teatru Dramatycznego.